

DAMIAN STRZESZEWSKI

SŁOWO DO SPECJALNYCH PORUCZEŃ.

NOWOMOWA W PROZIE KONWICKIEGO I ORŁOSIA

Postawienie mowy w stan podejrzenia uczynili poeci Nowej Fali gestem pokoleniowym. Podejrzliwość wykazali szczególnie wobec tych językowych rejestrów, które – by przywołać właściwą poetykę – kulom krytycznego oglądu miały się nie kłaniać. Ukształtowani przez doświadczenie studenckiego Marca 1968 roku, niewątpliwie postrzegający swą twórczość w kategoriach powinności, debiutanci przełomu lat 60. i 70. ubiegłego wieku w istocie rzucili wyzwanie metajęzykowym aspiracjom języka polityki PRL. W ten sposób uczynili centralnym zagadnieniem literatury, a właściwie kultury – w najszerszym znaczeniu tego słowa (co wypada przyznać, biorąc pod uwagę programowy i publicystyczny rozmach tych twórców), właśnie słowo. Słowo sfunkcjonalizowane względem pragmatyki politycznej perswazji – i przez to niezdolne już służyć rzeczywistej komunikacji i integracji wiedzy. Słowo nasycone wartościowaniem – i przez to słabiej lub silniej zdesemantyzowane. Słowo-zakłęcie, rozsnuwające zideologizowane mirażę wbrew rzeczywistości – i przez to czasem wyklinane. Słowo uwięzione w skostniałym rytuale, z którego dawno uleciał patos – i przez to niesprzyjające wyrażaniu jakichkolwiek społecznych emocji. Słowo pożerające łąpczywie wszelkie obdarzone autorytetem słowa cudze – i przez to autorytetu pozbawione.

Taka wizja słowa, a dokładniej: mowy, a jeszcze dokładniej: nowomowy wyłania się z kanonicznych dziś tekstów Michała Głowińskiego, Aleksandra Wata, Jakuba Karpińskiego, Françoise Thom i innych badaczy zagadnienia¹.

¹ M. Głowiński, *Marcowe gadanie. Komentarze do słów 1966-1971*, Warszawa 1991; Idem, *Nowomowa po polsku*, Warszawa 1991; Idem, *Peereliada. Komentarze do słów 1976-1981*, Warszawa 1993; Idem, *Style bycia, style mowy [w:] Pismak 1863 i inne szkice o różnych brzydkich rzeczach*, Warszawa 1995; Idem, *Mowa w stanie oblężenia 1982-1985*, Warszawa 1996; Idem, *Końcówka (czerwiec 1985 – styczeń 1989)*, Kraków 1999; A. Wat, *Kilka uwag o związkach między literaturą a rzeczywistością sowiecką [w:] Świat na haku i pod kluczem. Eseje*, oprac. K. Rutkowski, London 1985; J. Karpiński, *Mowa do ludu. Szkice o języku polityki*, London 1984; F. Thom, *Drewniany język*, z j. francuskiego przeł. I. Bielicka, konsultacja i posłowie M. Głowiński, Warszawa 1990; J. Bralczyk, *O języku polskiej propagandy politycznej lat siedemdziesiątych*,

Dla uczestnika uwarunkowanego instytucjonalnie dyskursywnego pluralizmu demokratycznej Polski stanowi ów *quasi*-język zjawisko historyczne – inaczej zapewne niż dla wyrobionego intelektualnie mieszkańca Putinowskiej Rosji, by pozostać przy jednym nienajdrastyczniejszym przykładzie. Jednakże studiowanie przypadków historycznych czasem popłaca, a do zainteresowania tym akurat fenomenem – w jego krajowej odmianie – skłaniać może parę zastanawiających zjawisk w polskiej debacie publicznej AD 2006 (hiperperswazyjność przekazu komercyjnego zostawmy tu na boku). Po pierwsze, uderza dziś swoista metajęzykowa nerwica uczestników tej dyskusji (ze wszystkich stron barykady – to godzi się podkreślić): świeżą manierą stało się problematyzowanie wypowiedzi politycznego czy ideologicznego adwersarza, eksponowanie ich perswazyjności i oznaczanie ich jako podstawowych determinant deklarowanego działania. Po drugie, rzuca się w oczy nieoczekiwana recydywa prawideł peerelowskiego dyskursu: mnożą się zrytualizowane przywołania dychotomicznych etykietek („solidarny” – „liberalny”, „skłócenie” – „łączenie”), do łask wracają matryce wroga, spisku, a z drugiej strony faszysty i kołtuna, z kolei miejsce sfiguralizowanej naukowości (identyfikowanej oczywiście z prawidłami marksistowskimi), dostarczającej niegdyś rzekomo ostatecznego uprawomocnienia, zajmuje figura obiektywnej procedury prawnej jako panaceum na społeczne bolączki – ciekawe, że obie te klisze, choć tak skrajnie różnym poczynaniom towarzyszą, uprzywilejowują motyw „wyjaśniania”.

Powtórzę więc: warto wracać do badań nad językiem politycznym PRL, a jego natury i historycznych perypetii warto dociekać także skupiając się na tekstach literackich. Tu ograniczę się do rzutu oka na socrealistyczne utwory Tadeusza Konwickiego (*Przy budowie i Władza*) i na powieść *Trzecie kłamstwo* Kazimierza Orłosa. Wybór tych pierwszych tłumaczy się sam przez się: w

Warszawa 2001; J. Strzelecki, *Socjalizmu model liryczny. Założenia o rzeczywistości w mowie publicznej. Polska 1975-1979*, Warszawa 1989; P. Wierzbicki, *Struktura kłamstwa*, Warszawa 1986.

powieści poszczecińskiej – by sięgnąć po dobrze osadzoną w klimacie epoki formułę Wojciecha Tomasika – nowomowa nie tylko stanowiła jedyną i w założeniu najzupełniej transparentną materię językową narracji i dialogów², ale też decydowała o przebiegach fabularnych i obrazie świata przedstawionego. Natomiast Orłoś konwencję tak właśnie ukształtowanej powieści produkcyjnej obrał za wzorzec stylizacyjny swego utworu. Swoją wymowę ma zresztą również to, że za „jednego z ciekawszych pisarzy współczesnych” uznał Orłosa prawnik publiczny i pisarz Bronisław Wildstein³.

Realizm socjalistyczny, jak wiadomo, obrał sobie za przedmiot odwzorowania nie tyle współczesny sobie świat społeczny w jego typowych aspektach, ile pobudzający odbiorcę ideologiczny projekt, któremu żelazne prawa rozwoju dziejowego gwarantowały jakoby pełne urzeczywistnienie⁴. W tym sensie powieści produkcyjne z jednej strony dostarczały modelu życia społecznego, z drugiej zaś były żywołem – bynajmniej wówczas nie maskowanej – magii językowej, domeną słowa obdarzonego mocą kreacyjną⁵. Tak rozumiane modelowość i magiczność domagały się jakiejś spójnej formuły

² „(...) teksty socrealistyczne operują nowomową jako składnikiem dyskursu narracyjnego, o niej zaś nie opowiadają, czyli nie traktują jej jak problemu, nie zastanawiają się nad tym, dlaczego i w jaki sposób bohaterowie nią się posługują. Dzieje się tu przeto akurat odwrotnie niż w narracjach późniejszych – od pierwszych parodystycznych humoresek Mrożka do prozy Siejaka – w których nowomowa nie jest bezproblemowym narzędziem opowiadania, ale właśnie jego problematycznym przedmiotem” (M. Głowiński, *Narracja, nowomowa, forma totalitarna* [w:] Idem, *Rytuał i demagogia. Trzydzieścioletnie szkice o sztuce zdegradowanej*, Warszawa 1992, s. 23).

³ B. Wildstein, *Salon zależnych*, *Wprost* 2006 nr 5 (5 lutego), s. 26.

⁴ Niewykluczone, że spotykało się to z powojennymi przekonaniem części inteligencji. Konwicki w wywiadzie ze Stanisławem Beresiem powiedział: „Wtedy natomiast [w czasach obowiązywania doktryny socrealistycznej – dopisek mój – D. S.] było wielkie spodziewanie się. Siłą ożywczą była nadzieja. Wydawało się, że świat idzie do przodu, że wszystko jest wprężone [sic!] w ten proces, że wszystko będzie dobrze. Wojna strawiła w ogniu brud, ropę i robactwo i czuliśmy się tak, jakbyśmy wyszli oczyszczeni z tego ognia. Była nadzieja i czekało się z godziny na godzinę na lepsze” (S. Beres, *Pół wieku czyśćca. Rozmowy z Tadeuszem Konwickim*, Kraków 2003, s. 100).

⁵ Odrębną sprawą jest prawomocność czy – mówiąc ostrożniej – społeczna funkcjonalność projektu. Z tego punktu widzenia Głowiński uznaje socrealizm za „antywartość”. Píše: „Sformułuję rzecz z brutalną otwartością: socrealizm to literatura pokazująca świat z bezpieczniackiego punktu widzenia. Niezależnie od tego, kto jest tzw. bohaterem pozytywnym i jak przebiega fabuła, głównymi wyrazicielami opinii, jakie winny być traktowane tak, jakby miały moc powszechnie obowiązującą, są ci, którzy tworzą aparat terroru; to postawy i zachowania dogodne dla nich są zachwalane jako jedne słuszne i jedynie godne aprobaty. Tak więc «towarzysz z bezpieczeństwa» staje się główną instancją (...)” (M. Głowiński, *Od autora* [wstęp w:] Idem, *Rytuał i demagogia...*, op. cit., s. 5–6).

literackiego przedstawienia. Formułę taką odnaleźć można już w powieści *Przy budowie* – wczesnej, a wręcz „prekursorskiej”⁶. Oto nieodzowne w produkcyjniaku przywrócenie socjosphery do stanu optymalnego następuje u Konwickiego dzięki ideologicznemu uświadomieniu robotniczego kolektywu przez głównego bohatera – a dokładniej za sprawą jego agitacyjnej wypowiedzi. Jej leksyka („Wyścig pracy wyrabia w robotniku samodzielność, skłania go do myślenia, do wynalazczości, robi z niego świadomego, ambitnego współtwórcę Polski Ludowej. Wyścig ten wydobywa najwartościowszych ludzi, którzy potem zajmują kierownicze stanowiska w kraju. A budujecie tutaj przecież dla siebie. Ta kolej będzie wam służyć. Po niej pociągi będą wozić wasze dzieci do szkół, po niej pójda wagony z materiałem do fabryk, które wy wybudujecie i w których wy staniecie przy maszynie” etc. – PB, s. 44, 45⁷) i topika (motyw awansu społecznego, klisza wielkiej budowy etc.) w pełni odpowiadają kanonom nowomowy. Miarą skuteczności tej enuncjacji jest wymowne (bo odznaczające się mizernym stopniem prawdopodobieństwa psychologicznego) oznajmienie narratora: „Zrobiło się tak cicho, że słycać było cykanie w rurze piecyka” (PB, s. 45). Znaczenie tej sceny uwydatnia swoista rezonerska klamra – początkowa i końcowa wypowiedź zakładowego sekretarza organizacji partyjnej:

„Partia nie pracuje tam jeszcze jak należy. I ja spodziewam się, że wy, towarzyszu, pomożecie w robocie partyjnej. Trzeba zorganizować szkolenie partyjne, wiecie, uświadomienie polityczne. Ja, stary murarz, wiem najlepiej, jakie to konieczne” (PB, s. 7).

„Widzicie, towarzyszu Czajkowski, grunt to uświadomienie polityczne” (PB, s. 85).

Jak widać, fundamentalna dla języka politycznego Polski Ludowej zasada magii językowej strukturuje fabułę tej powieści.

Jeszcze jedna pozornie marginalna wypowiedź powieściowego bohatera wydaje się tu kluczowa. Paweł Czajkowski (główny bohater, *de facto* dość

⁶ P. Czapliński, *Tadeusz Konwicki*, Poznań 1994, s. 23.

⁷ Cytaty z omawianych utworów opisuję w tekście głównym przy pomocy skrótów, odsyłających do następujących wydań: PB – T. Konwicki, *Przy budowie*, Warszawa 1950; W – Idem, *Władza*, Warszawa 1955; TK – K. Orłoś, *Trzecie kłamstwo*, Warszawa 1990.

dokładnie uosabiający topos apostoła jedynej prawdy – jak wiadomo, nowomowa i socrealizm konsekwentnie czerpały także z topiki chrześcijańskiej⁸) tak rzecz do działacza osłabłego w ideologicznej niezłomności:

„To sprawa prosta. Robota jest, żyj się z ludźmi, postaraj się zrozumieć sens tych wszystkich spraw dokoła. Znajdziesz swoją drogę. Przy wspólnej walce znajdziesz wspólny język z robotnikiem” [podkreślenie moje – D. S.] (PB, s. 48).

O fundamentalnym znaczeniu tego motywu pisze Tomasik. Ze zwrotem „szukać wspólnego języka” wiąże badacz następującą zasadę ogólną:

„Narracja jest generowana przez przysłowia, rozwija się w dużym stopniu poprzez ich realizację. Elementy świata przedstawionego strukturalizowane są często poprzez udosłownienie szablonowego zestawienia językowego. Organizacją fabuły rządzi frazeologia”⁹.

Prawidłowość tę kojarzy Tomasik z właściwym dla nowomowy magicznym traktowaniem komunikatów słownych.

Owo odnajdywanie wspólnego języka, pochwytnie w warstwie wydarzeniowej powieści, odpowiada – jak się wydaje – kanonicznemu dojrzywaniu „świadomości klasowej” bohatera zbiorowego; by wszakże nie budziła wątpliwości społeczna prawomocność wizualizowanego projektu – tu zrytualizowany ideologem ustępuje pragmatyce propagandowego pisarstwa¹⁰ – „świadomość klasowa” powieściowych robotników musi istnieć w stadium

⁸ Zwiedzający Galerię Socrealizmu w Muzeum Zamoyskich w Kozłowie zobaczyć mogą obraz przedstawiający jednego z patronów polskiego komunizmu, silnie upodobniony do dzieł Caravaggia, ukazujących objawienia nadprzyrodzone. Historycy (między innymi Marcin Kula) niejednokrotnie ujmowali komunizm jako system religiopodobny.

⁹ W. Tomasik, *Polska powieść tendencyjna 1949-1955. Problemy perswazji literackiej*, Wrocław-Warszawa-Kraków-Gdańsk-Łódź 1988, s. 81.

¹⁰ Sztuczność perswazyjnego konstruktów bywała jakoby odczuwana przez autorów. Dotyka tego Konwicki w *Romowie z Beresiem*: „To była wielka fikcja. Jaki robotnik chce czytać o robotnikach? Takie rzeczy wygadują tylko w telewizji. Wiadomo, że robotnik chce czytać o życiu księcia i hrabiego. Kiedy byłem robotnikiem w Wilnie, to także chciałem czytać książki o życiu wyższych sfer. Uczestniczyliśmy w totalnej fikcji. Mianowaliśmy się inżynierami dusz ludzkich. Czytelnicy udawali, że nas czytają, a my udawaliśmy, że przynosimy im wiedzę o nich samych. Mnie to zawstydzало i nie umiałem tego robić. Ale uczestniczyłem w tym procederze. Była w tym jakaś ostentacja, że świat będzie zbawiony przez fabryki oraz przez literaturę. To się zresztą wiąże z pewnym kultem literatury, integralnym i immanentnym dla tego ruchu. A kult słowa idzie z Rosji!!!” (S. Beres, op. cit., s. 102).

zależnym. Metonimią tej zależności jest właśnie przedjęzykowy charakter pożądanego kompleksu postaw i przeświadczeń, jakby czekającego już u progu wyrażenia. Ideologiczne akty strzeliste bowiem wydobywają się z robotniczych piersi i gardeł zazwyczaj na końcu powieści produkcyjnej, powstaje efekt retardacji. Na marginesie warto zauważyć, że podobny schemat i właśnie efekt retardacji występuje w *Cmentarzach* Marka Hłaski, a więc opowiadaniu, w którym krytyka stalinizmu i totalitarnego języka doprowadzona została blisko deklamatorskiego ekstremum.

Subtelna literacka strategia wynurza się niekiedy na powierzchnię tekstu i objawia między innymi w wypowiedziach bohaterów-prostaczków. Piegza z *Władzy* tak oto zwierza się Gałęckiemu:

„Wiesz, Mika (...) ot, tymi rękami – pokazał sękaty palec – dobiłem się wszystkiego. Uczenia wielkiego nie mam. Tak po prawdzie, to przeczytałem tylko artykuł towarzyszy Marksa i Engelsa »Manifest komunistyczny«. Musiałem czytać osiem razy, żeby wszystko pojąć. Towarzysz Stalin to pisze tak, że prosty człowiek od razu zrozumie. Tak czasem czytam jaki artykuł i myślę sobie: »Ot, patrz, bracie, jakby w mojej myśli patrzył. Wszystko, jakbym ja sam powiedział«. A potem zastanowię się i wychodzi, że tak nie myślałem, że czułem o jakoś, a towarzysz to na papierze podsumował, po tej linii rozwinął” (W, s. 81).

Słowo politycznie sfunekcjonalizowane odgrywa we *Władzy* nie mniejszą rolę niż w produkcyjniaku Konwickiego. Nie mniejszą wprawdzie, ale odmienną – bo inny składnik peerelowskiego *quasi*-języka funduje strukturę powieści o Gałęckim, Korejwie i Cieszkowskich. Tu dochodzi do głosu radykalny manicheizm nowomowy¹¹, przekształcający fabularną całość w serię dość statycznych, za to silnie zwaloryzowanych obrazów, zestawionych na zasadzie kontrastu. Wystarczy przywołać pierwszą ich parę. Oto zdania rozpoczynające powieść [wszystkie podkreślenia w cytatach z *Władzy* moje – D. S.]: „Noc była niezwykle ciemna. Z jednostajnie mrocznego nieba mrugało mrowie gwiazd” (W, s. 5); już tu wymóg niesprzeczności

¹¹ W tym kontekście szczególnego znaczenia nabiera wspomnienie autora: „W wydawnictwie byłem otoczony przez ludzi, którzy mnie lubili i chcieli, aby ta powieść stała się – w znaczeniu ówczesnej doktryny politycznej – uniwersalna. *Władza* miała być według nich bez mała polskim *Cichym Donem*” (S. Beres, op. cit., s. 87).

zostaje uchylony przez imperatyw waloryzacji przestrzeni: sceneria działania wroga musi być obszarem mroku. Czytamy dalej: „– Cicho – d e n e r w o w a ł s i ę Derkacz – za chrapy, za chrapy chwyć! Całą wieś drań obudzi!” (W, s. 5); tu z kolei wartościowanie ujemne sugeruje słownictwo i składnia zdania. Efekt nabiera wyrazistości, gdy powyższe wyimki zestawia się ze zdaniami, które otwierają scenę drugą:

„Mijali p o l a d o j r z e w a j ą c e g o ż y t a , gdzieniegdzie baby w naciągniętych na oczy chustkach okopywały kartofle. Na turkot wozu podnosiły się znad zagonów, osłaniały oczy dłonią i długo patrzyły za furmanką. Mantyl wtedy zacinał konia i lewą ręką przychwytywał lufę karabinu, żeby nie podskakiwał za bardzo. / - Isz, ciekawe – ś m i a ł s i ę g ł a d z ą c w ą s y ” (W, s. 23).

Gęsty mrok przeciw dojrzewającemu życiu, zaczajony neurastenik przeciwko dobrotliwemu wujaszкови – zresztą lekko stylizowanemu (wąsy!) na tego wujaszka, dzięki któremu „pod kul gradem runął gad pod Stalingradem”, jak zdarzyło się napisać Gałczyńskiemu.

Dla zwaloryzowania składników świata przedstawionego stosował Konwicki najrozmaitsze klisze. Ich dobór wiele mówi o duchu lat, w których powstawała *Władza*. Swoisty antyburżuazyjny resentyment nie dziwi, nawet jeśli objawia się w sposób nasuwający skojarzenia z dawną manierą wykpiwania filistra¹². Nie zaskakuje też przesadna socpruderia, reprezentowana przez

¹² Mam tu na myśli oczywiście prezentację postaci adwokata Cieszkowskiego. Zaczyna Konwicki od opisu przestrzeni własnej postaci (wszystkie podkreślenia w poniższych cytatach moje – D. S.): „Nieduży, zgrabny domek. Szerniał już od deszczów, ale prezentuje się jeszcze dobrze. Zielone okiennice z wyciętymi s e r d u s z k a m i . Na furtce tabliczka: »Jan Cieszkowski - adwokat«. Gałęcki zatrzymał się. Patrzy na d y n d a j ą c e ś l i w e c z k i w ogrodzie, okalającym domek, i wzbiera w nim gniew nie do pohamowania” (W, s. 28). Później czytelnik poznaje samego bohatera: „Nadchodzi Cieszkowski. Idzie szybkim a d w o k a c k i m k r o c z k i e m , na nogach ma k r a c i a s t e b a m b o s z e o b s z y t e ż ó ł t ą s k ó r k ą . Stare s m o k i n g o w e spodnie zavalane są u dołu ziemią. K r e m o w y sweter kamizelkowego kroju, rozpięty na piersiach, ukazuje koszulę w n i e b i e s k i e p r ą ż k i . C z y ś c i u t k ą , nie zgniecioną. Gałęcki dziwi się: nawet na kołnierzu nie ma śladu potu. Na nosie błyskają wesołe okulary oprawione c i e n k o w z ł o t o ” (W, s. 29). Przy okazji, opis domu Cieszkowskiego kontrastuje z następującym nieodległym opisem: „Podjechał do Urzędu Bezpieczeństwa, który mieścił się w starym mieszkalnym domu. Szedł wolno schodami, omijając zwieszające się ze wszystkich stron druty telefoniczne. W każdym kącie widać było prowizoryczność tego na wpół urzędu, na wpół hotelu” (W, s. 31) – klisza kiczowatego burżua i klisza heroicznej socascezy nawzajem się tu ożywiają.

bohatera pozytywnego¹³. Mniej oczywiste wydaje się już niejednoznacznie podsuwane skojarzenie ideologicznego wroga z... upiorem – bo tak wypada interpretować ten z pozoru neutralny fragment:

„Gałęcki spuścił właśnie nogi z wozu, żeby zeskoczyć, kiedy nagle, ni z tego, ni z owego, z wymarłej jakby chałupy wyskoczył na ganek rozchełstany, czarny mężczyzna. Na wybałuszone, czarne oczy zwisały kępki rozczochranych włosów, w olbrzymich, czerwonych rękach połyskiwał automat” (W, s. 25).

Wiejski zabobon to dość szczególnie intertekst literatury nieukrywającej swych marksistowskich fundamentów. Znowu: zasada niesprzeczności ustąpiła pierwszeństwa zasadzie perswazyjnej skuteczności.

Formuła manichejska miała w powieści socrealistycznej swoje ograniczenia. Dopuszczała opis wszelkich poczynań wroga, ale rygorystycznie eliminowała taki sposób wyartykułowania jego racji, który przyznawałby im choćby cień uzasadnienia¹⁴. Postaci negatywne formułowały więc wypowiedzi znormalizowane, to znaczy dostosowane do nowomodnego uniwersum znaczeniowego – i przez to sytuacyjnie nieumotywowane. Sztuczność ta niekiedy „biła po oczach”:

„– Dość tego! – wrzasnął Korejwa waląc pięścią w kolano. Ale opanował się jednak, siadł z powrotem na krzesło i uśmiechnął się błado. – Mika, co się dzieje? Dlaczego zaczynamy coraz częściej kłócić się ze sobą jak

¹³ Idzie tu rzecz jasna nie o spektakularne erotyczne ekscesy, ale elementarne sposoby posługiwania się ciałem. Symptomatyczny przykład stanowi scena, w której zetwumówka Helena Opuchlikówna przybywa do gabinetu Gałęckiego: „I od razu poczuł do niej instynktowną niechęć. Wydało mu się, że idzie przez pokój z a s w o b o d n i e , nawet wyzywająco. Nie dopięty płaszcz letni w kratę, pod nim suknia czarna w białe grochy, przedłużona czarnym pasm jedwabiu u dołu. Usiadła z a k ł a d a j ą c n o g ę n a n o g ę . Dopiero wtedy spojrział n i e c h ę t n i e na jej twarz. »Ładna« - pomyślał z satysfakcją, uważając to za nowy argument przeciwko niej. Jasne, popielate włosy gładko zaczesane, z żółtawymi pasmami na przodzie, biała delikatna skóra i impertynenckie oczy koloru popiołu z papierosa: tak samo szare jak włosy, z ciemnymi cętkami. Przy kątach oczu siateczka zmarszczek powstałych od ich częstego mrużenia. Była albo krótkowidzem, albo dużo się śmiała. Wąskie czerwone usta i energiczna broda. W gruncie rzeczy, po baczniejszym przyjrzeniu się, nie była to twarz ładna. Ale czysta, delikatna cera, mięciutkie cienie kładące się koło ust i nosa, a także jakiś zaczepny, c z u p u r n y s p o s ó b p a t r z e n i a sprawiały, że dziewczyna wydawała się ładna i nawet sympatyczna” (W, s. 37). Inna sprawa, że Konwicki – jak przyznał po latach – stylizował Gałęckiego na komunistycznego fanatyka (S. Bereś, op. cit., s. 89).

¹⁴ Tak pisze o tym Głowiński: „Obowiązywała zasada, że ów wróg klasowy nie mógł formułować swych kwestii tak, by burzyły one te o nim wyobrażenia, które miały obowiązywać. Mówił więc albo frazesami, którymi go określano w ówczesnej publicystyce, albo tak, by nie podawać w wątpliwość idei głoszonych pozytywnie” (M. Głowiński, *Literatura wobec nowomowy* [w:] Idem, *Nowomowa po polsku*, op. cit., s. 46).

dwaj nieprzyjaciele? Zastanów się tylko, o co ci chodzi? Co masz przeciwko mnie? Pięć lat już służę Partii. Pięć lat to kawał czasu. Rosłem razem z Partią, znam ją – jeśli tak można powiedzieć – od dziecka. Na moich oczach nabierała siły, zdobywała władzę”¹⁵ (W, s. 55).

Jak widać, przełożony w kłótni z podwładnym hamuje swój gniew i zaczyna się mdło usprawiedliwiać. Przyjmuje rolę podsądnego przed trybunałem ideologicznej słuszności; ma więc jej przeczucie – a zatem również świadomość, że sam służy złej sprawie. Wróg nie narusza interpretacyjnej monofonii, co czyni go absurdalnym, a jego klęskę – nieuniknioną; metajęzykowym ambicjom politycznego dyskursu staje się zadość.

Schemat powieści poszczecińskiej okazał się wdzięcznym przedmiotem gier intertekstualnych. Zręcznie – by nie rzec: z podziwu godnym pietyzmem – wyzyskał go w drugiej połowie lat 70. ubiegłego wieku Kazimierz Orłoś w *Trzecim kłamstwie*. Uczynił to oczywiście w celach zdecydowanie polemicznych. Zgodnie z konwencją osadził on akcję tej powieści na jednej z budów socjalizmu, za główny temat obrał pracę. Stosunek do niej, sposób jej uzyskania, miejsce w hierarchii zawodowej i związany z zajęciem zespół poglądów określają każdego z bohaterów w sposób decydujący; co więcej, to kwestia efektywności pracy – obok relacji wewnątrz kolektywu – pcha intrygę do przodu. Orłoś sięgnął też po skostniały model zaangażowanego bohatera, który wkracza w szwankującą socjosferę – i zrealizował go w dwóch wariantach – kooptacyjnym i kontestacyjnym. O wszystkim tym opowiada narrator niby-

¹⁵ Przypominam: Korejwa jest we *Władzy* wrogiem wewnętrznym, reprezentuje stanowisko potępiane niegdyś jako „odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne”. Nie jedyny to w powieści wróg o cechach nowomownego rezonera – warto wskazać postać Wiktora Cieszkowskiego – „Satyra” z bandy Derkacza. Bohaterem tym targają znamienne dylematy: „Druga jeszcze sprawa nie dawała mu spokoju. Wiedział o powiązaniu organizacji z angielską i amerykańską ambasadą. Domyślał się, że niejedna dyrektywa wychodziła z tych pałaców mieszczących się przy Alejach Ujazdowskich w Warszawie. Rozumiał konieczność współdziałania z Zachodem, ale nie wierzył w jego dobre intencje. Początkowo nie miał wątpliwości: jasne – dwa obozy, musimy zdecydowanie opowiedzieć się za Zachodem. Ale wkrótce spostrzegł dziwną rolę: kiedy zbierała się konferencja, w której brali udział delegaci Polski i ZSRR, i rozpoczynały się dyplomatyczne targi z przedstawicielami Ameryki, organizacja otrzymywała dyrektywy zmierzające do jej uaktywnienia. Wiktor nie mógł się oprzeć myśli, że wzmocnieniem akcji podziemia w Polsce chciano szantażować. A więc wyjmowanie cudzymi rękami kasztanów z gorącego popiołu?” (W, s. 69, 70). Ostatnie zdanie potwierdza intuicje Tomasika, o których była mowa wyżej.

neutralny, jednak precyzyjnie dystrybuujący takie informacje o bohaterach, które sugerują ich ocenę. Poszczególne postaci są kojarzone z odmiennymi, ale konsekwentnie zestereotypizowanymi – i tym samym zwaloryzowanymi – rekwizytami¹⁶ oraz przestrzeniami publicznymi bądź prywatnymi¹⁷, przy czym skontrastowane opisy występują obok siebie – podług omówionej wcześniej reguły. W większym jeszcze stopniu opisuje bohaterów używany przez nich idiolekt – tym razem zaznaczają się wyraźne różnice środowiskowe.

Nowomowa występuje tu jednak nie tylko w funkcji delimitacyjnej¹⁸. Ulega fabularyzacji jej aspekt magiczny, jest to jednak fabularyzacja radykalnie różna od tej przeprowadzonej w produkcyjniaku Konwickiego. Nowomowne wypowiedzi owszem, powodują konkretne zmiany w socjosferze przedstawionej, ale u Orłosia dokonuje się dzięki nim nie ideologiczna iluminacja bohatera zbiorowego, a – to najważniejsze określenie – zgnojenie pozytywnego protagonisty. Język polityczny nie traci swych magicznych mocy, zmienia się jedynie ich zastosowanie. Dokonuje się partykularyzacja

¹⁶ Z których wymienić można choćby ernerdowskie meble, samochód Wołga i radziecki koniak, skądinąd nawet w ocenie aparaczyka „(...) do dupy! Mydłem czuć” (TK, s. 43).

¹⁷ Szczegółowość i sama zawartość tych opisów nasuwają skojarzenia z prozą małego realizmu. Oto przykład (wszystkie podkreślenia w cytatach z *Trzeciego kłamstwa* moje – D. S.): „O piętnastej Zawadzki poszedł na obiad do stołówki. Usiadł przy jednym z trzech stolików przeznaczonych dla dyrekcji. Na białych serwetach stały gliniane wazoniki z gałązkami bazi (na pozostałych stolikach, przykrytych folią, nie było nic). Dyrektor usiadł tyłem do Sali – patrzył w okno. Obiad przyniosła kelnerka. Rosół z zieleniną, sznycel i ziemniaki polane rozpuszczonym masłem. Za plecami Zawadzkiego – od drzwi wejściowych do okienka, w którym wydawano posiłki – ciągnęła się długa kolejka robotników w szaroburych drelichach. Dyrektor nie widział, jak robotnicy stawiają na tacach talerze z zupą i drugim daniem (kapuśniak plus zeberka) i jak siadają przy stołach nakrytych folią”. Warto jeszcze przytoczyć wymowny opis pomieszczenia w Komitecie partyjnym w Strzelnie: „Zarzycki odczytał widoczny za oknem napis na ślepej ścianie. »Pewex! Oferuje bogaty asortyment towarów pochodzenia zagranicznego za waluty wymienne i bony PKO!« I znów pod spodem żółtymi literami: »Pewex!« Na parapecie stał elektryczny grzejnik przykryty blaszaną pokrywką. W oszklonej szafie pod ścianą kilka książek w beżowych i granatowych okładkach: Marks, Marks. Widać było także starannie ustawione »Nowe Drogi«, »Kraj Rad« i »Przyjaźń« ułożone w okazałe stopy. Na ścianie nad biurkiem reprodukcja znanego obrazu radzieckiego malarza, a której Lenin przemawiając do robotników i żołnierzy, jakby unoszony na rękach tłumu, wskazuje kierunek marszu” (TK, s. 106).

¹⁸ Głowiński pisał o delimitacyjnej funkcji marksizmu-leninizmu. Pełni on ją dwojako: „(...) tworzy barierę między partią a resztą Polaków” i „stanowi jeden z czynników spójności grupy”¹⁸ (M. Głowiński, *Mowa w stanie oblężenia, 1982-1985*, op. cit., s. 38–39). W tym sensie integracja i wykluczenie stanowią obszar użyteczności ideologicznego języka w większym stopniu niż wyrażanie. Jak pisze Głowiński: „Język ortodoksji znaczy nie przez to, że mówi coś o świecie, lecz przez to, że ktoś nim się posługuje – i że ów ktoś dysponuje władzą” (Ibidem, s. 39).

regulacyjnego (konstytuującego i wykluczającego) potencjału nowomowy. Z wymiaru makrospołecznego przechodzi on w sferę gier o potwierdzenie statusu, toczonych w skali mikro. Patetyczny motyw walki o imponderabilia ustępuje miejsca motywowi – nie inaczej – „dorwania się do żłobu”.

Alternatywą dla przyjęcia tych reguł jest bowiem ekspulsja – obdarzony sympatią narratora Michał Radecki, Don Kichot zmagają z brakoróbstwem, odchodzi pokonany. Warto jednak zwrócić uwagę na scenę, w której Witek Szaryński (ów drugi względnie młody bohater) zaczyna identyfikować się z urzędniczym środowiskiem – odpowiada ona niewątpliwie socrealistycznym scenom ideologicznej iluminacji:

„To wtedy Witek przeżył moment radości – u n i e s i e n i a , jakiego nie spodziewał się przeżyć, kiedy szedł speszony za szefem Olgi. Spojrzał na siedzących przy stole mężczyzn. Na ich znajome, przyjazne twarze. Siedzieli w koszulach, uśmiechnięci, dobrotliwi. Centowicz z siwą głową, z kępką włosów na piersiach (porozpinał guziki). Pызaty Milewicz (spocona twarz, koszula w kratę). Pieniążek z podwiniętymi rękawami (wąsy, baczki). On najwięcej przejmował się grą. Żywy, wesoły kolega. I Szaryński pomyślał, że j e s t j e d n y m z n i c h – szczerych, życzliwych ludzi. Rozumieją się, lubią wzajemnie. Mogą na siebie liczyć. Zaśmiał się głośno z dowcipu, który opowiedział Centowicz. Znów wypili p o ż y t k u . Fala radości, ciepła, serdeczności i życzliwości ogarnęła Witka. Zadowolony rozdał k a r t y ” (TK, s. 212).

W powieści socrealistycznej społeczna idylla była konsekwencją przemiany światopoglądowej, której asystowała niczym akuszerka – nowomowa. U Orłosa patologiczny układ społeczny (język somatyczny pojawia się tu nie bezinteresownie) powraca do stanu równowagi dzięki „żytku” i „kartom” – a nie płomiennej retoryce. Politycznie sfunkcjonalizowane słowo nie służy już nawet integracji społecznej w skali mikro – najwyżej czasem przydaje się jako narzędzie jej obrony.

Orłoś zgrabnie sfabularyzował degenerację nowomowy – wszak w latach 70. dostrzegalną w świecie niefikcyjnym. Konwicki w swych antyreżimowych powieściach nie podjął już z nią gry, nie uczynił literackim twórcy

dyskursu, który w swych wczesnych utworach *de facto* zmityzował. Czemu? Z szacunku dla własnej biografii, czy z obawy, że groteskowa degeneracja nie oznacza jeszcze anihilacji? I tę kwestię warto kiedyś podjąć.